Nr. 33. Rok I.



NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Cena prenumeraty: kwartalnie w miejscu 15 sbr., na prowincji 18 sbr. 9 fen., w Krakowie i Lwowie 1 złtr. 20 c., w Galicji i w innych krajach austrjackich 1 złr. 40 c.

Poznań, 12 Sierpnia 1871

Redakcja przy ulicy Berlińskiéj Nr. 14.
Ajencje:
Lwów: Milikowski, Gubrynowicz i Schmidt
Kraków: Friedlein, Józef Czech.

POLIŚCI, POLANIE I WIELKOPOLANIE

PRZED NASTANIEM POLSKI[1].

W zamieci różnorodnej narodowości, która sobie w czasach najdawniejszych legowisko nad Dunajem obrała, upatrywali Szafarzyk i Lelewel pierwiastki ludów słowiańskiego rodu, i nad ich z za Karpat przed Karpaty przenosinami zastanawiali się głęboko[2]). Uszło atoli baczności ich nie jedno, uszły ich wiedzy źródła, nad któremi, trafiwszy na nie przypadkowo, gdym się zastanawiał, dostrzegłem, że z ponad dolnego Dunaju szła od wschodu na zachód ku źródłom téj rzeki jedna część tak późniéj nazwanéj słowiańskiéj ludności, a druga suwała się po brzegach rzeki Łaby, i posunęła do jéj ujścia. Oba ludności téj prądy, zespolone z postępem czasu z obcemi sobie narodowościami, między którémi teutońska nie pośledniе zajmowała miejsce, posiadły całą prawie starożytną Germaniją, i w niéj silną rzeszę znaną pod nazwą swewskiéj utworzyły. Dostrzegałem daléj, że ludności rzeczone, wdzierając się z prawego na lewy brzeg Renu w kraje dzisiejszéj Francji, zostawiły po dziś w tamecznem zwyczajowem prawie (coutumes) wydatne po sobie ślady. Dostrzegałem na koniec, że tak z biegiem wieków nazwane państwo Polskie, uzyskawszy wzrost i siłę od téj, tudzież od przesiedlającéj się z poza Karpat nad Wisłę ludności, rozwijało cywilizację swą w ziemiańskim kierunku.

Po spomnionych wyżéj olbrzymich pracach Szafarzyka i Lelewela, nie wątpimy już, że Słowianie są prastarym w Europie, i od niepamiętnych czasów bardzo licznym narodem. Że zaś dotąd mało się czem, odpowiednio swéj wielkości odznaczyli, i dali się pod niejednym względem uprzedzić spólnie z nimi w Germanii żyjącym, a następnie odstrychnionym od nich Teutonom, są tego różne przyczyny. W ich liczbie przeważa ustrój państwowy.

Obrali sobie Słowianie rządy rodowe za wzór do sprawowania najwyższéj władzy kraju, powierzając kierownictwo państwa albo gminie albo monarsze, kontrolowanemu przez starszyznę, z pośród ludu na to wybieraną. Oba rządy będąc tak przez tę starszyznę, jak i przez inne zewnętrzne i wewnętrzne wpływy w rozwoju swoim tamowane, mogły tylko przy szczęśliwych dla kraju okolicznościach zbawiennie wpływać na wzrost powszechnego dobra. Ilekroć więc potężna ręka sterem państwa nie kierowała, rozstrajała się najwyższa jego władza. Wtedy przywłaszczywszy ją sobie zwycięzca, narzucał swoje rządy zwyciężonym, i trzymał je, póki mu ich nie wytrącił potężniejszy mocarz, lub nie pozbawiła go ich społeczność, przezeń ujarzmiona, a szczęśliwie z pod jego wyzwolona przemocy. Sprawowała

[1]) Artykuł ten jest urywkiem z dzieła Nowy pogląd na pierwotne dzieje Polski, które wyjść ma z druku w szeregu Dopełnień historji prawodawstw sławiańskich, zapowiedzianych w tem tu piśmie (patrz Tygodnika Wielkopolskiego z r. b. Nr. 20 str. 251.)

[2]) Patrz Szafarzyka starożytn. § 20 ustęp 3, i rozprawy Lelewela III — VII w jego dziele: Narody na ziemiach sławiańskich przed powstaniem Polski; w Poznaniu 1853 wydanem.

wtedy spółeczność ta swe rządy do czasu, w którym się znowu dostała pod obcą władzę.

Rozwijając szczegółowo zasady rządu Słowian w historji prawodawstw, przyrzekłem [1]) mówić, w miarę nowo odkrywanych źrodeł, obszernie o tem i owem, lekko w téjże historji naszkicowanym przedmiocie. Stawiają mnie dziś w możności wywiązać się z tego, com przyrzekł, nowe źródła, dające możność wniknąć w tajniki pierwiastku dziejów polskiego osobliwie narodu.

Wyraz pole i cząstką pola będąca lecha, tajniki te, w dziejach szczelnie zamknięte, nieco lepiéj jak dotąd odsłonić dozwalają.

Rzeczony wyraz „polje" (pole), wyłącznie językowi słowiańskiemu właściwy, i w nim ziemię tak uprawną jak dziką oznaczający, sięga początkiem swoim zamierzchłéj przeszłości [2]), równie jak i wyrazy greckie πολε-ω, πολευ-ω, πολίστης, od niego według wszelkiego do prawdy podobieństwa pochodzące, które wyłącznie się do pracy i pracujących w roli ściągają. Upowszechniane dwa pierwsze wyrazy (pole, polista) w zachodniéj Europie, rzucają wielkie światło na przestwór owego czasu, kiedy ludy, na prawym brzegu rzeki Renu zamieszkałe, już się były na dwie wielkie grupy podzieliły. Z nich jedna pod ogólną Germanów, a druga pod nią, tudzież pod szczególną, a sobie właściwą nazwą Swewów, wystąpiła. Obie wyróżniały się dobitnie prawami, zwyczajami, stosunkami towarzyskiéj społeczności, i t. p.

Ogólna nazwa grup owych (Germani) była nową, świeżo nadaną ludom, dzisiejsze Niemcy zamieszkującym [3]); szczególna, Swewom służąca, była bardzo dawną, z ich języka wytryśniętą i szeroce rozpostartą. Pod nią, równie jak dziś pod nazwą Prusaków, wiele się różnego pochodzenia ukrywało ludów.

Powiem naprzód o różnicach narodowości Germanów i Swewów, i źródłosłów nazwy drugich na jaw wywiódłszy, opowiem stosunek ich do Rzymian tudzież do Słowian. Tak przygotowawszy rzecz do wyłącznéj opowieści

[1]) Histor. prawod. V. § 408.

[2]) Grym (Grimm) w Wörterb. p. w. Feld mówi: soweit sich dies wort (pole) erstreckt liegt seine abkunft im dunkel.

[3]) Tacyt Germ. 2. 38.

o Polanach z polistów powstałych, zajmę się następnie temi Polanami, którzy pod nazwą Wielkopolan zasłynąwszy, położyli podwaliny do budowy Chrobrowego Polaków państwa.

Że swojska nazwa Swewów ma źróosłów (radix) sławiański, dorozumiewałem się w Pierwotnych dziejach Polski i Litwy (str. 18) w r. 1846 wydanych w Warszawie. Jakób Grym [1]) zwróciwszy uwagę na spółgłoskę sw, w sławiańskich narzeczach tyleż co sl (sł) ważącą, utwierdził mnie w powziętem mniemaniu; ale gdy położył nacisk na to, że Sarmatowie, lud niesławiański, mogli pierwsi nazwać tem mianem Niemców, a ci przenieść je na Sławian, dał się mi w porozumienie, że chce odebrać drugą ręką, co dał pierwszą. Zastanowiwszy się atoli, że tu nie o to idzie, kto co dał komu, lecz czy dał mu, albo raczéj wrócił, co mu zabrał, pominąłem dawcę, a pochwyciłem i zatrzymałem jak swoje, co dał, będąc upoważniony a to w rozmowie, którą z nim miałem r. 1856 w Berlinie w celu naukowym; jak o tem gdzieindziéj [2]) opowiedziałem.

Większą część Germanji [3]) zamieszkiwali Swewowie. Granice bowiem ich państwa obejmowały, według Tacyta, wszystkie kraje, które się między Łabą i po za tą rzeką na zachód i na północ Germanji, aż do zrzódeł i ujścia Wisły do morza rozciągały.

Zamieszkujące je ludy rozkłada Szembera [4]) na trzy wielkie gromady, i o dziejach każdéj z nich napomyka. Wystarcza to na jakiekolwiek obznajmienie się z swemi dziejami, ale nader małe pojęcie daje o narodowości ludów, mieszkających w zakresie granic téj przestrzeni ziemi. Różnicy więc rzeczonéj tu dotknę, a kto więcéj się o niej dowiedzieć ciekawy będzie, niech się w historji prawodawstw rozpatrzy. (Ciąg dalszy nastąpi.)

[1]) Grimm w Geschichte der deutschen Sprache, wydania drugiego w Berlinie 1853 r. ogłoszonego drukiem. Patrz Str. 226—7. 322—70.

[2]) Bibl. Warsz. r. 1856 II. str. 203 w przyp.

[3]) Rzekł Tacyt w Germ 38.

[4]) W dziele „Zapadni Slovane w praveku ve Vedni 1868 Rozbiór tego dzieła podałem do Gazety Polskiéj w Warszawie wychodzącéj. Patrz 1868 r. num. 138—9.

HISTORJA SIWEGO WŁOSA.

Powieść

Władysława Łozińskiego.

(Dalszy ciąg.)

Mimo wad tedy swoich Jarska zasługiwała na nazwę kobiety niepospolitéj. Jeżeli potrzeba maskowania niedostatku i wynikająca ztąd kolizja z funduszami uczyniła ją drobiazgową, jeżeli duma nadawała jéj charakterowi pewną zimną i odpychającą surowość, a namiętne trwanie przy procesie czyniło go zaciętym — to za to miłość do syna, miłość najszlachetniejsza, najgłębsza, gotowa do wszelkich ofiar i poświęceń, opromieniała moralną postać Jarskiéj aureolą najpiękniejszych cnót macierzyństwa i kazała zapominać o wszystkich wadach i przywarach.

Przeszło dziesięć lat mijało, jak Jarska mieszkała z synem za granicą. W położeniu jéj nie zaszła żadna pomyślna zmiana. Nieszczęsny proces trwał ciągle, syn podrastał w młodzieńca, a uratowane resztki mienia szczuplały z dniem każdym. Dopóki bowiem Oktaw był chłopięciem, wystarczała jako tako renta z ocalonych kapitałów, gdy jednak wiek młodzieńczy jedynaka wymagał przeniesienia się do wielkiéj stolicy i uzupełnienia edukacji, w całém jéj arystokratyczném pojęciu, potrzeba było nadwerężyć sam kapitał i znacznie go uszczuplić.

Jarska, która była wzorem oszczędności a nawet abnegacji, o ile na tém cierpieć mogła jéj tylko osoba, i o ile to nie narażało na szwank pozorów, stawała się aż do lekkomyślności hojną, gdy chodziło o Oktawa, a mianowicie o jego potrzeby edukacyjne. Gdy zważymy, że w planie edukacyjnym Jarskiéj główne a może i najgłówniejsze zabierało miejsce wprowadzenie Oktawa w świat wielki, postawienie go na równi z najznamienitszą i najbogatszą młodzieżą pod względem form, manier i wytwornych warunków powierzchowności, pojmiemy łatwo, że wychowanie Oktawa w tym samym stopniu było kosztowne, w jakim było mylne i niepraktyczne.

Ale hrabina Jarska nie byłaby przeniosła nigdy, aby syn jéj jedyny, potomek dostojnéj i znakomitéj rodziny, nie otrzymał zupełnie takiego wychowania, jakie otrzymują dziedzice fortun miljonowych. Dodać nadto należy, że hrabina wierzyła ślepo w szybki i pomyślny rezultat prowadzonego procesu, który jeśli nie całą da-

wną świetność, to przynajmniéj pańską dostatniość bytu miał zwrócić lada chwilę.

— Proces trwa nieskończenie długo — rozumowała hrabina — ale zwłoka ta jest teraz już tylko rękojmią szybkiego zakończenia. Nim Oktaw dorośnie, proces rozstrzygnie się pomyślnie, i zaraz u wstępu do życia Oktaw ujrzy się panem znacznego majątku. Zresztą z imieniem swojém, z swoją urodą i zaletami, Oktaw zrobić może świetną partję. W nim odrodzi się dawna świetność Jarskich — wychowanie jego zatém odpowiedniém być musi jego przyszłości...

Powodując się takiém rozumowaniem biedna matka gotowała sobie nie tylko bolesne rozczarowanie, ale nadto całe nowe pasmo najcięższych prób i najprzykrzejszych, bo materjalnych kłopotów. Oktaw kończył lat dwadzieścia, kapitał zmniejszył się o połowę i zaledwie wystarczał na bardzo skromne utrzymanie życia, a proces, wlokąc się ciągle bez nadziei blizkiego rezultatu, coraz większych wymagał kosztów i nakładów.

Oktaw urósł w prześlicznego młodziana. Urodę jego fizyczną uwydatniały wytworne maniery, ogłada salonowa najlepszego smaku, formy szlachetne i arystokratyczne. Jarska widziała w tém ideał edukacji, niepojmowała bowiem, czegoby więcéj miał się uczyć potomek tak znakomitego rodu. Z dumą też patrzyła na swego jedynaka, strojnego w wdzięk młodości i urody noszącego z szlachetną dumą imię swego ojca, lubionego we wszystkich salonach, podziwianego przez najpiękniejsze kobiety, wzbudzającego zazdrość u rówieśników, którzy górowali nad nim tak dalece majątkiem. Do dumy téj jednak przybywała wkrótce boleść i trwoga... Na widok dorosłego syna opuszczał Jarską nawet ow optymizm, który dotąd kazał jéj wierzyć w bardzo blizką, pomyślną zmianę losu. Oktaw posiadał wszystko, co posiadać powinien pan wielkiéj fortuny, brakło tylko jednéj małéj rzeczy, to jest: właśnie owéj wielkiéj fortuny.

Proces, który przed kilku laty ożywił się był nieco, wpadł znowu w letarg zupełny, co jednak nie wykluczało ogromnych stosunkowo kosztów. Oktaw za granicą ani karjery ani bogatego ożenienia spodziewać się nie mógł. Hrabina obliczyła wszystko i wśród ciężkiéj boleści i łez zdecydowała się rozłączyć z Oktawem.

Sama miała zostać za granicą, Oktaw wyjechać miał do kraju. Oktaw nie miał ochoty wracać do kraju, który choć był jego ojczyzną, stał mu się obcym zupełnie, a zresztą nie chciał rozstawać się z matką, którą kochał istotnie najgłębszą miłością. Opierał się tedy planowi matki, ale Jarska nie odstąpiła od swéj decyzji.

— Ależ mamo, po co mam jechać? A jeśli mam już koniecznie tam jechać, dla czego sam, dla czego nie chcesz jechać i ty ze mną? — pytał Oktaw.

— Tak być musi, drogie dziecię — odpowiadała Jarska — wymaga tego twoja przyszłość i moje własne szczęście, które od twego szczęścia zawisło. Powinieneś wrócić do kraju, w którym imię twoje ma za sobą piękną przeszłość, dla którego ty masz obowiązki, a który i dla ciebie nie będzie obojętnym. Twoje urodzenie i twoje zdolności nieomieszkają zapewnić ci karjerę, a jenerał Rokicki, posiadający tyle wpływów w kraju, nie odmówi ci w tém pomocy. Wymaga tego daléj i nasz proces, który potrzebuje koniecznie poparcia na miejscu. W końcu wymagają tego i życzenia matki twojéj, Oktawie, która doczekać by się chciała rychło, aby obok niéj znalazła się jeszcze jedna kobieta, któraby nosiła imię Jarskich...

Wymawiając te ostatnie słowa, Jarska z uśmiechem pełnym miłości i słodyczy ucałowała czoło jedynaka.

— Czemuż ty ze mną nie jedziesz, mamo?

Hrabina milczała chwilę a usta zadrgały jéj boleśnie. W dużych, zawsze pięknych jeszcze oczach Jarskiéj zalśniły łzy; ale stłumiła ona wkrótce uczucie głębokiego rozżalenia i przymuszając się do spokoju, odparła:

— Rozdzierasz mi serce tém pytaniem, mój drogi synu... Czyż może być boleśniejsze rozstanie nad moje z tobą?... Ale tak być musi. Gdybym wróciła z tobą do kraju i osiadła w mieście, w którém mnie wszyscy znają, musielibyśmy prowadzić dom, Oktawie, dom odpowiedni naszemu stanowisku. Tymczasem wiesz już o tém, że stosunki nasze majątkowe są niepomyślne... tymczasowo... Mam atoli wszelką nadzieję, a nawet pewność — dodała szybko hrabina — że w bardzo krótkim czasie sytuacja nasza zmieni się...

— Jeżeli tak, mamo droga — rzekł Oktaw — pocoż ja tam jadę?...

— Bądź spokojnym, Oktawie — odparła szybko i z pewną szlachetną dumą hrabina, — tyle mamy, abyś, jeżeli nie świetnie, to przynajmniéj na przyzwoitéj mógł żyć stopie...

Oktaw ucałował rękę matki z czułą wdzięcznością, chociaż niedomyślał się, że Jarska sprzedała wszystkie swe pamiątkowe klejnoty i kosztowności, że postanowiła ograniczyć się sama do najpotrzebniejszych tylko warunków bytu, aby zebrać sumę, któraby mogła wystarczyć Oktawowi do utrzymania się na wytworniejszéj stopie przez jeden rok cały.

Oktaw nie wiedział, że zaraz po odjeździe jego zamyślała Jarska sprowadzić się do upatrzonego już z góry maleńkiego mieszkania, złożonego z dwóch ciasnych pokoików, że skazała się na niedostatek prawie, i że ten wysiłek był ostatnią, rozpaczliwą zaliczką na przyszłość, która zawieść mogła, tak jak dotąd ustawicznie zawodziła...

(Ciąg dalszy nastąpi)

Na skrzydłach Ikara.

Chorowałem, marzyłem, latałem i spadam.
(A. Mickiewicz.)

Ciasno, tęschno mi było wśród ziemskiéj przestrzeni
I ku błękitom duszy wytężyłam oko,
I na skrzydłach Ikara wzbiłam się wysoko,
Tam gdzie słońce się pali i zorza rumieni.

I dumna szczęściem drogą leciałam promienną,
Lecz krótko trwała rozkosz i lot mój bezpieczny;
Woskiem klejone skrzydła stopił żar słoneczny
I runęłam w przepaści toń straszną, bezdenną.

Tak wzniosły mnie wysoko sny złote, marzenia,
W rajską krainę piękna, w sfery ideału,
Że prysnął złoty łańcuch wiążący do ziemi.

Ach! jedna chwila słodkiéj ułudy i szału!
I spadłam w głąb' przepaści w nadmiarze cierpienia,
Niezdolna już do lotu — z skrzydły złamanemi.

Korynna.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Uroczystą ciszę Poznania od dni paru poczynają zamącać przyjeżdżających pojazdów turkoty i świeże głosy szkolnéj młodzieży, którą, wkrótce zacząć się mające wykłady, ściągają do miasta. — Nie wiele téj młodzieży jeszcze, a zdaje się, że ludność się podwoiła — tak żywo się rusza wypoczęta dziatwa. — Moglibyśmy zawołać z chórem ludzi statecznych i staruszków: „słodkie są owoce nauki" a jednak niepodobna nam przywitać takim argumentem rozbawionych pieszczoszków i nie spojrzéć z pewnem współczuciem na te opalone twarzyczki wyglądające z powozów, karet i wózków, powleczone cieniem smutku — przeczuciem kilkomiesięcznéj znowu niewoli. — Refleksja nie działa jeszcze w tym wieku. Na szczęście, taż sama wrażliwość, która im dzisiaj chmurzyć się każe — za kilka tygodni wciągnie ich w tryb zwykłych zajęć i śmiech wywoła na rumiane usta. — W każdym razie pierwsze przebudzenie się w mieście i pierwszy dźwięk dzwonka sprawiają obrzydliwą sensację! — Tymczasem, kiedy ze wsi napływają goście do naszéj metropolji — koléj unosi w stronę Lwowa nie liczną wprawdzie — ale pełną patrjotyzmu gromadkę naszych współobywateli.

Rachował Lwów podobno na więcéj, i wedle téj rachuby rozmierzył przyjęcie.

Cóż robić! — Za to Szląsk i Kraków dopełnią, jak nam donoszą, oczekiwanéj liczby, a może ją nawet przewyższą. —

A Szląsk ledwo wypoczął po jednéj uroczystości, któréj piękny cel i urok popsuły tylko złośliwe manewra miejscowéj ludności niemieckiéj i burmistrza cieszyńskiego p. Demla.

Wspominaliśmy w poprzedniéj kronice, mówiąc o księdzu doktorze Prutku, jaki powód ściągnąć miał do Ropicy ludność ze Szląska — gości z Galicji — z Krakowa i Morawy. — Komitet uzyskał pozwolenie rządowe na zgromadzenie a rada gminna cieszyńska, w nieobecności p. Demla, burmistrza, zagajona przez p. Gimpla radnego, zgodziła się na wszystkie punkta programu podanego przez komitet i pozwoliła na uroczysty pochód przez miasto. — Za przybyciem p. Demla rzeczy wzięły inny obrót. Szanowny burmistrz na umyślném zebraniu sam przemawiał najgoręcéj przeciw pozwoleniu na pochód — a bojaźliwe i ukryte dotąd antypatje partji niemieckiéj, czując się popartemi, stanęły jednogłośnie po jego stronie. Dwóch członków tylko głosowało przeciwnie.

W tak krótkim czasie reszta zmieniła zdanie. — Okazałość uroczystości w części sparaliżowano. Jednakże taki był napływ gości, — takie gorące objawy zapału i patrjotyzmu pomiędzy zgromadzonemi — że mimo tę psotę niemiecką i postawę napastniczą kuturträgerów i stawiane przeszkody — uroczystość była wspaniałą i zupełną demonstracją polskości Szląska. Bratni udział Czechów i Morawian podnosił jeszcze jéj znaczenie. Żałujemy, że brak miejsca nie pozwala nam powtórzyć choć w części pięknych przemówień i wzruszających szczegółów tego ludowego zboru, — odsyłamy jednakże czytelników do Gwiazdki Cieszyńskiéj, z któréj tę wzmiankę w części czerpaliśmy a gdzie obszerny znajdzie się opis szląskiego święta. —

* * *

Ażeby dłużéj pozostać w tak drogiéj sercu naszemu sferze polskich objawów i pracy zaznaczymy tu jeszcze radosną nowinę, podaną nam przez korespondenta, — o zawiązaniu się Towarzystwa Przemysłowego w Koźminie. — I jeszcze jedno! Niech rosną i potężnieją te ramiona mające kiedyś dźwigać w górę grobowy głaz Polski. Bóg jest z temi, co się łączą i mówi poeta:

„On rad jest - jeśli wierne mu duszę gromadą
Przed ołtarz do modlitwy gorącéj się kładą
Gromadą, jeśli sieją na ziemię zoraną
Gromadą, jeśli z sierpem na zagonie staną —
On rad jest — bo powiedział, że gdzie w Jego imię,
Jedna izba zebranych pracowników przyjmie,
Tam On siła, pomocą, natchnieniem i radą
Spłynie i będzie wiecznie między tą gromadą."

Towarzystwa Przemysłowe niewymowne korzyści ekonomiczne i moralne uczestnikom swoim przynoszą. Cnota solidarności, tak rzadka jeszcze pomiędzy nami, tylko za pośrednictwem stowarzyszeń zaszczepi się i rozwinie.

Raz jeszcze odezwijmy się obcemi słowy do nowego Towarzystwa:

„..... Tu się waszych myśli —
Różność zejdzie, porówna i jasno określi,
Tu znać się i oceniać nauczycie wzajem
Tu złączeni swą pracą z całym naszym krajem
Czując, jak w was duch polski wzmacnia się i działa,
Wyrwiecie obce cząstki ze swéj krwi i ciała." —

* * *

Z krainy uroczystości i zabaw zejdźmy na cmentarze. — Jedna świeża mogiła zamknęła się co dopiero — a druga czeka łakomie na swoją ofiarę. — Chcemy mówić o śmierci Salezego Dmochowskiego i śmiertelnéj chorobie George Sand (pani Dudevant). — Sędziwy antagonista Mickiewicza — po 72 latach wytrwałéj i różnorodnéj pracy literackiéj zakończył życie w pierwszych dniach b. m. w Warszawie. Salezy Dmochowski należał do tych postaci, które więcéj sytuacja, aniżeli własna zasługa zrobiły popularnemi i sławnemi. Walka jego historyczna z Mickiewiczem związała imię jego z postacią mistrza i uczyniła je znajomém całéj Polsce. — Nie idzie jednak zatém, ażeby długoletnia działalność zmarłego nie pozostawiła po sobie pięknych, indywidualnych śladów. Historja literatury zapisała udział jego i wpływ, jaki po 1820 r. wywierał na pracę literacką w Warszawie. Zdolny tłómacz zakończył życie swoją pełną zasługi pracą a mianowicie zebraniem wszystkich a szczególniéj pośmiertnych dzieł i listów Kazimierza z Królowki. Dmochowski do ostatnich lat zachował cześć dla klasycyzmu a wstręt do szkoły romantycznéj. Obdarzony rzadką pamięcią, często w salonach pani Grzegorzewskiéj (Sabiny) zbierał nas młodych i raczył Ziemiaństwem Koźmiana albo Sibyllą Woronicza, z których cytował całe pieśni.

Jednakże łagodny i dobroduszny w starości nie objawiał téj zjadliwości krytycznéj, którą w nim dawniéj spostrzegano. — Jedyną ciemną stroną prac jego jest Historja polska dla młodzieży — wydana około 1864 r. — zbyt cenzuralna.

Genjalna autorka Consuelo, Leon Leoni i tylu innych arcydzieł, które rewolucjonizowały w swoim czasie serca i głowy, chora prawie bez nadziei. — Inteligencja ta potężna, łącząca z głęboką wiedzą i pięknością formy najzuchwalszą paradoxalność i mroźną analizę — zagaśnie, jak wszelka inna rzecz śmiertelna. Pozostanie po niéj olbrzymia ilość dzieł — w których każda doktryna socjalna wyryła gorące ślady. Ostatnie jéj prace, umieszczane w Revue de Deux Mondes, jak Terèse i inne, grzeszyły już dydaktyką zbyteczną. Nie mogę jéj darować Chopina i Alfreda de Musset! **Wł. Ordon.**

Korespondencja ze Lwowa.

(Dokończenie.)

Lwów, dn. 25 lipca 1871.

Wypada mi dokończyć rozpoczęte w poprzedniéj korespondencji sprawozdanie o wystawie obrazów. Otóż dział historycznych obrazów wyczerpałem prawie zupeł-

nie; pozostaje mi tylko wspomnieć o „Wilhelmie i Jadwidze.“ Fl. Cynka, wielkim obrazie olejnym, który nadszedł dopiero z końcem wystawy. Wilhelm klęczy z pochyloną twarzą, w ubiorze ciemnym, Jadwiga o twarzy pięknéj i rysach szlachetnych, w sukni błękitnéj ubrana, zwrócona ku stronie lewéj, spostrzega jakieś niebezpieczeństwo grożące ich schadzce. Zarzucić można wymuszoną nieco i teatralną poniekąd postawę obojga osób.

Pomiędzy rodzajowymi obrazami pierwsze miejsce zajmuje prawdziwy brylant tegorocznéj wystawy: Stadnina hetmańska, akwarela Kossaka, illustracja do poematu Pola. Stary Tarnowski z niewielką świtą na koniach, ogląda z zadowoleniem stadninę; twarze w obrazie tak polskie, tak narodowe, że w istocie jakby do kontusza stworzone; a dość znać jeden utwór Kossaka, aby sobie wyobrazić, jakie życie, jaka prawda maluje się w postaci każdego konia; w każdym upatrzysz jakieś charakterystyczne znamię: w tym ciekawość, w owym dumę szlachetną, w innym znów ogień, z trudnością wędzidłem hamowany. Jużto nic stosowniejszego nad spółkę artystyczną Kossaka i Pola; obaj mają nadzwyczaj wiele analogii w swym artyzmie i śpiewak „Pieśni o ziemi naszéj i ów genialny malarz psów, koni i szlachciców“ jak ktoś nazwał Kossaka, umie zawsze nadzwyczaj trafnie uchwycić charakterystyczne rysy swojskości i polskości. Oprócz stadniny hetmańskiéj oglądaliśmy jeszcze dwa targi końskie, które już były na poprzednich wystawach i tutaj obok mnóstwa koni rozmaitego rodzaju, od wspaniałych rumaków aż do kościstych szkap żydowskich, spostrzegamy wybornie scharakteryzowane postacie z ludności jarmarcznéj: chłopi w siermięgach, żydzi żywo zajęci interesami, koniarze znawcy, — a wszystko tchnie życiem i prawdą. Czwarta miała akwarela Kossaka przedstawia konie spacerowe. Pokrewna powyższym obrazom jest akwarela Tepy, przedstawiająca południek (odpoczynek obiadowy) na Rusi. Czuć tu spiekę w powietrzu; jeden wieśniak przy wołach w pługu zaprzężonych, drugi wywczasowuje się rozłożony na trawie; co do prawdziwéj i wiernéj charakterystyki nie ustępuje tu Tepa Kossakowi. — Styjowski przysłał tego roku znów swych flisaków; odpoczywają na tratwie przy rozjarzonym ogniu, który wraz z zachodzącém słońcem jaskrawo ich ubarwia, — oświetlenie zwykłe u Stryjowskiego, które w nim już prawie w manierę przeszło. W całym obrazie czuć chłód wieczora, zapadającego przy mgle, która się z wody podnosi. — „Jedynaczce“ Schustera (w Wiedniu) możnaby zarzucić brak wyrazu w twarzy starca, zresztą był to jeden z lepszych obrazów; myśl główna, smutne położenie jedynaczki w obec starości ubogiego ojca, przegląda zeń rzeczywiście. W ubogich Teof. Kopystyńskiego także widzimy starca żebraka z młodą dziewczyną; wybitnie wyrażona plastyka w twarzy starca, wyrachowana nieco za wiele na efekt, odbija od postaci dziewczyny, która się przy nim płaską wydaje. Nie godzi się zapomnieć o dwóch odpowiadających sobie obrazkach Gersona: w jednym „w zbrojowni,“ syn powróciwszy z wyprawy pokazuje ranę ojcu, — w drugim „w świetlicy“ matka z córką zajęte przędzeniem i aptéką; koloryt, jak zwykle w obrazach Gersona, nieco przymglony, twarz dziewicy w drugim obrazku nadzwyczaj piękna. — Pomiędzy portretami mieliśmy kilka istotnych dzieł sztuki. Wilhelm Leopolski dał portret kasztelana z XVII wieku, odtworzony z starego obrazu; nie wyobraża on wprawdzie postaci typowéj, podziwiać w nim jednak należy świetną plastykę tak w twarzy jak i w draperji. — Matejki mieliśmy tylko jeden obraz: portret przedstawiający grupę dzieci; widać było, że znakomity koryfeusz malarstwa polskiego uważał tę pracę niejako za wypoczynek; obok świetnéj gdzieniegdzie, właściwéj mu techniki spostrzegaliśmy miejscami niedbałe pociągnięcia pędzla a w ręce chłopczyka błąd rysunkowy; również i ugrupowanie robiłoby lepsze wrażenie, gdyby portret był zarazem obrazem rodzajowym; — nie byłyby postacie dzieci sztywne i wymuszone. — Pomiędzy innymi olejnymi portretami szczególnie podnieść należy portret staréj damy J. Grabowskiego, młodéj panny L. Löfflera i Piusa IX pędzla J. Jabłońskiego. Fr. Tepa dał dwa piękne portrety akwarelowe: młodszego syna Zyg. Krasińskiego i dziewczynki z psem.

Z krajobrazów na pierwszem miejscu postawić należy „Przed burzą“ Stefana“. Czuć w nim tę duszność w powietrzu w obec skupiających się chmur; zamek nad wodą otoczony drzewami stanowi przedmiot obrazu. H. Grabiński przysłał kilka swych prac; dwa mniejsze obrazki, o których wspomniałem poprzednio i szkic do wielkiego obrazu z okolicy Ramsan należy nierównie wyżéj postawić od widoku skały uryckiéj, w którym grupa jodeł razi brakiem wszelkiéj plastyki.

Rzeźb było mało; głównie popiersia i medaliony prywatnych osób; jedynemi kompozycyami była Psyche model gipsowy E. Jaskólskiego i Anioł upadły Tad. Barącza.

* * *

Ważnym wypadkiem dla miasta i w ogóle dla kraju całego jest reskrypt cesarski w sprawie spolonizowania uniwersytetu. Profesorami mogą być tylko Polacy, mogący wykładać po polsku, — a w przeciągu lat trzech mają wszyscy niemieccy profesorowie ustąpić. Wprawdzie ten drugi punkt nie jest jeszcze zupełnie jasno postawiony, wprawdzie w ogóle reskrypt ten nie wypowiada doraźnego natychmiastowego spolonizowania uniwersytetu, — w każdym jednak razie wykładowi polskiemu uczyniono nim znaczny wyłom w dotychczasowych trudnościach. Trzy, a względnie cztery wakujące katedry na wydziale filozoficznym obsadzone zostaną Polakami. Katedrę historyi otrzymać ma stanowczo Dr. Liske, dotychczasowy docent, katedra botaniki dostanie się w udziale prawdopodobnie Dr. Remanowi z Krakowa; do katedry matematyki jest trzech kandydatów: znakomity profesor techniki Żmurko, Dr. Zajączkowski, profesor uniwersytetu warszawskiego i Dr. Stanecki, prof gimnazyalny. Na katedrę literatury niemieckiéj rozpisano konkurs.

Nie wypada zapomnieć również i o sprawie Dr. Baracha-Rappaporta, profesora filozofii przy lwowskim uniwersytecie. Jest on jednym z najzawziętszych wrogów polskiéj narodowości. W kursie letnim zastępował profesora niemieckiéj literatury i obwieścił prócz prelekcji filozoficznéj i o Lessingu, także prelekcję o Fauście (1 godz. tygodniowo) zjawił się na pierwszym wykładzie (13 maja), zapowiedział, że nie będzie sam wykładał, zostawi objaśnianie słuchaczom, a sam tylko w zawilszych miejscach mięszać się będzie do objaśniania. Opuściwszy prolog, przystąpiono w ten sposób do wyjaśnienia kilkudziesięciu wierszy z pierwszéj sceny. Po tym pierwszym quasi-wykładzie uznał Dr. Rappaport za stósowne zostawić Fausta zupełnie w spokoju; drugiego wykładu o Fauście aż do końca kursu nie było. Na początku czerwca ukazała się o tem wiadomość w kronice Gazety Narod., a w ślad za tem inna korespondencyá, zawierająca wiadomość, że Dr. Barach-Rappaport wykłada filozofją z drukowanych książek Drbala i Macka. Wkrótce potem ukazało się oświadczenie kilkunastu słuchaczy Dr. Rappaporta, którzy, identyfikując obydwie korespondencje, nazwali je oszczerstwami i wystawili swemu profesorowi świadectwo, że obowiązków nie zaniedbuje i 9 godzin tygodniowo regularnie wykłada. Całe oświadczenie było nadzwyczaj misternie ułożone; jakkolwiek bowiem być może że p. R. prelekję filozoficzną (6 godz.) i o Lessingu (3 godz.) regularnie odbywał, to również jest faktem

niezaprzeczonym, że o prelekcji o Fauście, na którą się wielu zapisywało, zupełnie zapomniał. Aby dać pr bę wściekłości germanizatorskiej Dr. R wystarczy fakt następujący. Jeszcze przed ogłoszeniem reskryptu cesarski go Dr. Roman Pilat chciał się habilitować na docenta polskiéj literatury i Dr. Małecki zdał o jego rozprawie jak najpochlebniejszą opinię; tymczasem Dr. Rappaport oświadcza, że naturalnie nowy docent będzie na niemieckim (!) uniwersytecie po niemiecku wykładać. Gdy na to i inni niemieccy profesorowie zgodzić się nie chcieli, wniósł Dr. R., aby przynajmniéj próbny wykład odbył się w języku niemieckim; widocznie profesor filozofji pokłócił się z wszelkiemi zasadami logiki. Profesorowie polscy zaprotestowali przeciw temu, a sprawa wytoczyła się przed ministerjum oświaty i rozstrzygnie się niezawodnie na niekorzyść wniosku Dr. R., ale najprawdopodobniéj Dr. R. Pilat na przyszły kurs prelekcji nie będzie mógł rozpocząć.

Obecnie jak mówiłem, rozpoczęła się saison morte i skwary letnie; kto mógł umknął na wieś, na świeże powietrze, a pozostali bawią się co niedzielę po ogrodach i na przechadzkach. Czekamy tylko kiedy zaświta świetna rocznica narodowa a z nią dawno oczekiwany zjazd, na którym was, bracia Wielkopolanie, gotujemy się powitać ze staropolską gościnnością.

S. A. S.

Z ZAPISKÓW KOLEKTORA.

(Ciąg dalszy.)

Nie jednemu z was zapewno zdarzyło się wpośród ciszy nocnéj usłyszeć zagadkowy jakiś szelest i szmer od którego mimowolnie drgnęliście. Wówczas, wsparci łokciem na poduszce, z okiem wytężoném w ciemność, z tajemniczym dreszczem w ciele oczekiwaliście na coś nadzwyczajnego. Jeżeli jeszcze serce wam biło szybko i nierówno w piersiach, byliście w tém samem, co ja, położeniu. — Ogromnie boję się duchów. Mimo najchłodniejszą analizę — mimo wszelkie argumenta rozumu nigdy nie umiałem pozbyć się téj trwogi. — W wieczór kiedy przez ciemny pokój lub sień przechodzę — przyspieszam kroku a im prędzéj idę, tém widoczniéj zdaje mi się, że ktoś mnie z tyłu chwyta, że tysiące rąk do mnie z ciemności się wynurza i, cały zadyszany, zapalam świecę. Tłomaczyłem to sobie zawsze nieproporcjonalnem rozwinięciem się mojéj wyobraźni w stosunku do innych władz — jednakże po gruntowniejszym namyśle, sądzę, że zabobonna trwoga, objawiająca się u mnie tak często jest podarkiem od owych mamek i nianiek troskliwych — które tuląc mnie w płaczu, wołały wskazując w ciemny kąt pokoju, gdzie drżały cienie...

— Cicho! bo didko na słomianych nóżkach przyjdzie po ciebie!...

I stukały złowrogo w kołyskę. —

W późniejszych latach bałem się wielu rzeczy: — lekcji języka niemieckiego, inspektora, który mnie chwytał na paleniu papierosów, — konfitur mojéj ciotki, od których chorowałem — gier towarzyskich — gammy chromatycznéj i La priere d'une vierge, egzekwowanéj przez 15to letnie cuda — redaktorów pism ultramontanskich — nędznych wierszy; poczciwych dam z pasją do swatania i domów gdzie są panny na wydania bałem się pająków i wilczych dołów — aż koleją, powoli przestałem bać się wszystkiego — wszystkiego oprócz duchów! Ta jedna trwoga przeżyła we mnie inne. —

To też i teraz na odgłos tajemniczego szelestu wszystkie władze moje zbiegły się w słuch i wzrok a dresz mistyczny przeszedł mnie aż do szpiku kości. — Tymczasem szelest i osoba zbliżały się ku mnie, przykutemu na fotelu. — Jakaś ręka poczęła szukać niecierpliwie po stole. — Ktoś dotykał mnie prawie. — Po chwili kroki oddalać się poczęły w kierunku drzwi... Usłyszałem stuknięcie niecierpliwe nogą i głos. —

— Ach mój Boże! mój Boże!...

Nie wiem jakim sposobem, przez popęd silniejszy odemnie, zawołałem z akcentem pełnym przerażenia...

— Wszelki duch pana Boga chwali...

Efekt tego zapytania był zadziwiający...

Na mój głos odpowiedział okrzyk trwogi i zadziwienia. Gwałtowna ręka szarpnęła za klamkę i rozległo się wołanie...

— Januszu! Januszu! na miłość Boską tu ktoś jest!

Z korytarza nadbiegał ktoś szybkiemi kroki. — Pęk światła wpadł do mojego pokoju. W progu stał wysoki mężczyzna ze świécą w ręku..

Co to jest, Helenko, — co tu robisz? — to nie nasz numer!

— Naprawdę? zapytała stojąca jeszcze w cieniu kobieta i naraz wybuchnęła szalonym śmiechem.

Spostrzegła mnie. Musiałem mieć wielce zabawną minę — skurczony prawie we czworo na moim fotelu, ze śladami przerażenia na twarzy — bo młoda kobieta za każdem na mnie spojrzeniem w coraz większą wpadała wesołość i prawie spazmatycznie się zanosiła...

— Ależ Helenko! zawołał z wyrzutem na nią mężczyzna!

— Niestety! nie mogę! c'est impayable! wyjąknęła kobieta, daremnie probując się uhamować —

— Helenko! to szaleństwo! — nic nie pojmuję... kto tu jest? i wszedł ze światłem do pokoju!...

Pozycja stawała się ambarasującą. — Przeklęta bojaźliwość właściwa mi zawsze — nie pozwoliła odezwać mi się ,ani słowa... Siedziałem niemy i chciałbym się był zapaść pod ziemię.

Mężczyzna spojrzał w około wzrokiem zadziwionym.....

— Ależ tu nikogo nie ma! zawołał...

— Ten pan... jest tam... Januszu, odpowiedziała kobieta i, wskazując na fotel, znowu oddała się wybuchowi nieposkromionéj wesołości...

Janusz już stał przedemną.... Wstyd dodał mi odwagi....

— Pani się omyliła, wybąknąłem, a ja... spałem...

— I zawołał „Wszelki duch pana Boga chwali"; rzekła kobieta obcierając łzy i pasując się ze sobą.

Mężczyzna uśmiechnął się serdecznie pod płowym wąsem i rzekł...

— Niech pan wybaczy mojéj szalenicy, — Uparła się wybiedz z numeru ciotki, która stoi na tym samym korytarzu i wyszła pierwéj, nim ja zdołałem się pożegnać. Nasze mieszkanie sąsiaduje z pańskiem — a więc... Jeszcze raz proszę pana o przebaczenie za pomyłkę i niewczesną wesołość mojéj Pani.

— Helenko dosyć tego... dodał usiłując przybrać srogi ton...

— Ależ łaskawy Panie bąknąłem porywając się, ja jestem bardzo kontent, że mogę... to... jest... że pani się tak dobrze bawi...

— Otóż to rozumiem! zawołała kobieta podbiegając do mnie — je suis toute ronde... nie gniewamy się — nieprawdaż? i wyciągnęła do mnie rękę...

Zanim jednak zdołałem wziąść tę rączkę, mimo

heroicznych wysileń pani Helena parsknęła śmiechem tak gwałtownym, że aż musiała oprzeć się o męża!

Srebrne dźwięki jéj głosu sprawiały mi szczególną przyjemność. Chciałbym był żeby znalazła mnie stokroć jeszcze śmieszniejszym a śmiać się nie przestawała. Jednak i tak byłem już dosyć śmieszny. Spojrzałem ukradkiem w lustro. Czupryna rozczochrana à la diable m'emporte oczy mrużące się przed światłem — mina studenta schwytanego na gorącym uczynku... Nareszcie pani Helena opanowała swoje nerwy!

— Ah! rzekła, oddycham. No proszę, nie gniewaj się Pan. Nie wiem kto z nas dwojga więcéj się przestraszył... Ależ bo Pan byłeś taki pocieszny!...

— Helenko!...

— Pozwól mi, Januszku, — my się porozumiemy... Ponieważ mnie Pan nie znasz, muszę mu powiedzieć, że od lat 24 ustawicznie się śmieję. Tradycja powiada, że przywitałam światło dzienne wybuchem śmiechu... Jestem w całém znaczeniu tego tytułu Helene qui rit... Co powiedziawszy, zostawiam Panu obecnego tu hrabiego Janusza Psurskiego — mojego męża — a sama rejteruję, — bo, ma foi — nie wytrzymam dłużéj — je meurs d'envie de rire — à mon aise...

— Z kimże mam honor — zapytał hrabia, patrząc z zadziwieniem na moją osłupiałą minę...

— Jestem... delegowany (znalazłem wreszcie słowo) z komitetu w Poznaniu...

— Ach pan jesteś Albin... Wszystkie dzienniki zapowiedziały nam Pana. Soyez bienvenu!... Od ciekawéj przygody zaczynasz Pan swoją misję Dame!... No Helenko... il faut faire amende honorable...

— Gdzie Pan jedziesz? — zapytała żywo śmieszka zbliżając się do mnie tak, że czułem jéj oddech na twarzy...

— W okolice Czwartku... do Ronek... do Wilczyna... jeżeli Pani pozwoli (nie wiedziałem, co mówię).

— Ach! jeżeli ja pozwolę... Pan jesteś zadziwiająco pokorny, jak na poetę... Wszakże Pan jesteś poeta...

Nie dała mi odpowiedzieć.

— Znam, czytałam!... Pan jedziesz do Wilczyna — a to Pan z nami jedziesz... prawda, Januszku?...

— Mam nadzieję, że nie odmówi nam tego p. Albin — rzekł z łagodnym uśmiechem hrabia...

— Ależ ja nie wiem...

— No to Pan będziesz wiedział jutro... przerwała mi śmieszka... la nuit porte conseil... Dobranoc... Jedziemy jutro o dziesiątéj... O dziewiątéj czekamy z herbatą. I frunęła na kurytarz.

Hrabia popatrzył za nia rozkochanym wzrokiem.

— Dziwadło! rzekł do mnie z uśmiechem — zobaczysz Pan jeszcze piękniejsze rzeczy!... A więc do jutra, dodał ściskając mnie za rękę...

— Do jutra, wyszepnąłem machinalnie, odprowadzając go do drzwi.

Wróciłem na środek pokoju i stanąłem, jak wryty. Nie myślałem bynajmniéj o zapaleniu świecy. Byłem tak zły, że gdyby nie przyzwoitość, wyciąłbym sobie porządny policzek... Naraz w myśli stanęła mi cała scena, dopiero co odbyta, w najdoskonalszéj jaskrawości. I rozpocząłem ze sobą monolog. Oszczędzam go czytelnikowi. Powiem tylko, że zawierał w sobie najdoskonalszy program rozmowy, jaką powinienem był przeprowadzić — odpowiedzi, jakie powinienem był dać. Wściekłość mnie porywała na myśl, że będąc tak dowcipnym obecnie — wyglądałem przed chwilą jak kretyn. — Przeklinałem ten esprit d'escaliers, który mi tyle razy w życiu figla wyrządził. Nigdy nie mogę znaleźć na razie frazesu ani słowa... Tymczasem sytuacja była nieporównana i to mnie właśnie doprowadzało do rozpaczy. — A przez ścianę dochodziło przytłumione echo żywéj rozmowy, przerywanéj srebrzystym śmiechem...

Ten śmiech niewypowiedzianą sprawiał mi przyjemność. Z początku nie mogłem pojąć dla czego. Było w nim coś odmiennego od zwyczajnéj demonstracji tego rodzaju. Świeży, szeroki... nie mogę go lepiéj określić, jak zdrowy... ten śmiech... zawierał w sobie, dla mnie przynajmniéj, rys dostateczny charakteru wesołéj hrabiny. Zauważałem że nic tyle nie wydaje człowieka - co śmiech. Dla tego to dyplomaci, chytrzy — albo bardzo rozczarowani ludzie uśmiechają się tylko. — Hrabina musiała być pieszczonem dzieckiem losu — bo śmiała się ciągle — musiała być bogatą i kochaną — bo śmiała się swobodnie — inteligentną bardzo — bo uniknęła w najgwałtowniejszych wybuchach trywialności. — Hrabina miała przywiléj śmiania się — bez obrażania kogokolwiek. — To potrafią tylko dzieci. — Otóż musiała mieć w sobie naiwność i prostotę...

Tak myśląc machinalnie rozbierałem się i kładłem w łóżko. I nie wiem czy i kiedy zasnąłem... to pewna tylko, że śniło mi się o bardzo ciekawym potiszu chińskim, który stojąc przedemną, ze złożonemi na piersiach rękoma, kiwał się tak zabawnie, że nie mogłem się wstrzymać od głośnego parsknięcia śmiechem — który zaraźliwie ogarnął wszystko, co mnie otaczało... Samowar mój brał się za boki - kanapa aż przysiadała na nóżkach w kształcie łapek jeża, a pies mój Azor śmiał się serdecznie... ogonem. Właśnie kiedy karafka i szklanki poczęły podskakiwać od wytężenia — obudziłem się i ujrzałem świt biały...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

TEORJE POLITYCZNE XVI WIEKU

skreślił

Dr. W. M. Olendzki.

I.

Teorje i pamfleta stronników Reformy.

(Ciąg dalszy.)

(Reformatorzy. — Sebastjan Castalion (Marcin Belius). — Teodor Beza. — Franciszek Hotmann. — Jan Paynet. — Grzegorz Buchanan. — Hubert Lauguet (Stefan Junius Brutus). — Stefan de la Boëtie).

§. X.

Bliższe zapoznanie się z zasadami pierwszych Reformatorów, łatwo bardzo przekonać nas będzie w stanie, iż myśl wpływania na sprawy polityczne i organizowania rzeczy doczesnych zupełnie obcą im była, wpływ jednak dzieła ich, Reformy kościoła, nierównie daléj sięgnął, aniżeli oni pomyśleć nawet zdołali. Wolność sumienia i ściśle z nią połączona wolność wyznawania swych zasad religijnych, potrzebowała dla rzeczywistego istnienia — wolności politycznéj, dysputa zaś o zasadach kościoła wywołała potrzebę zanalizowania istoty państwa. — Zaczęto myśleć nad prawami ludu w stosunku do władzy zwierzchniéj, starano się postawić granicę posłuszeństwa i prawnego oporu. Z drugiéj zaś strony cały stosunek państwa do kościoła z gruntu został zmieniony od czasu, kiedy powaga papiestwa i porządek hierar-

chiczny ze strony protestantów zostały podkopane, a nowy kościół, poddawszy się dobrowolnie pod zwierzchnictwo państwa, zmusił niejako przeciwnika swego do uznania powagi politycznéj w celu uzyskania od niéj czynnéj pomocy.

Biorąc miarę z samych początków i sądząc ze stanowiska nauki pierwszych reformatorów, niepodobna jest prawie wierzyć, iż reforma postawiła te zasady, o których przeprowadzenie walczy potém: Francja, Anglja, Szkocja; zasady, na których powstały nowe państwa, jak Szwecja i Niderlandy, zasady, na których nakoniec wznosi się dzisiaj ten kolos niosący śmierć despotyzmowi:

Rząd z woli narodu.

Mniéj, aniżeli którykolwiek z Reformatorów troszczył się Marcin Luther o rzeczy doczesne lub polityczne, najwięcéj zaś ze wszystkich nienawidził rozruchów i dochodzenia, choćby najświętszych praw, mocą oręża. Swobodne zaciekania się umysłowe były dla niego tylko środkiem dla ustalenia wszechwładzy wiary i łaski. Powstając przeciw pretensjom duchowieństwa do panowania nad życiem doczesném i osobami świeckiemi[1]), nie miał on bynajmniéj na celu osiągnięcia jedności politycznéj, lecz jedności teologiczno-chrześcijańskiéj. Takie jednakże porównanie osób świeckich i duchownych, poddanie kościoła w rzeczach doczesnych pod władzę polityczną wielki wpływ w koniecznem następstwie na świadomość polityczną wywrzeć musiało i wywarło. — Państwo dla Lutra jest niższym porządkiem rzeczy powstałym nie z chrystusowéj wiary, lecz z ułomności ludzkiéj natury i z woli Boga. — Alle Obrigkeit ist von Gott. — Tylko do państwa władza należy, a téj z woli Boga ustanowionéj władzy wszyscy posłuszni być winni. „Księża i biskupi zwierzchnością nie są. Nie mają oni władzy, lecz służbę. Powinni uczyć i modlić się, nie zaś sądzić.“ Rozróżniając powagę kościoła i władzę zwierzchnią w państwie[2]), poddaje Luther téj ostatniéj wszystkie rzeczy porządku zewnętrznego, nie wszyscy bowiem ludzie są wewnętrznie doskonałymi Chrześcijanami, należącymi do wyższego porządku „państwa bożego“, w którym nie potrzeba władzy do przestregania bezpieczeństwa i pokoju.

Ogółem biorąc pojęcia Luthra o państwie, są bardzo nizkie, uważa je on bowiem li tylko za pewien rodzaj zakładu pokojowo-poprawczego. — Spokojny i wszelkiéj władzy poddający się Luther, nigdy jednak przedstawicielom jéj nie schlebia i nie poniża się do ubóstwiania panujących. „Królowie, mówi on, są słabi i zwyczajni ludzie, nie są oni namiestnikami, lecz sługami Boga“, baczyć téż pilnie winni na dobro poddanych, kraj bowiem i ludzie nie są ich własnością. „Od początku świata, mówi on, dobry król jest rzadkim ptaszkiem, pobożny zaś i moralny król jest jeszcze rzadszym.“ Daléj zaś ze zwykłém grubijaństwem dodaje: „Wszyscy prawie królowie są największemi warjatami i najgorszemi niecnotami na ziemi, Bóg w gniewie swoim nadał im władzę“[3]).

Ponurość i gburowatość mnicha, dyktująca Luthrowi te i tym podobne słowa, wyrabia w nim niechęć i pogardę dla wszystkiego, co tylko jest świeckie. nienawidzi on również prawników i dyplomatów, mówiąc o nich iż są najgorszemi chrześcijanami[4]).

Władza doczesna podług Luthra nieograniczoną być nie może, prawo jéj nie sięga do ludzkiego sumienia, które tylko Bóg jeden sądzić może. Nikt, mówi on, za wiarę moją ani do piekła, ani do nieba nie pójdzie, nikt zatém do wiary lub niewiary zmuszać mię nie może. „Duszą moją rozrządza tylko Bóg, i nikomu władzy nad nią nie dał. Władza tam tylko rządzić może, gdzie widzi, rozpoznaje, gdzie sądzić i zmieniać może, ponieważ zaś żaden człowiek w głąb serca mego zajrzeć nie może, ponieważ myśli méj duszy nikomu świadome nie są, to w rzeczach tych mego sumienia nikt rozkazywać i sądzić nie ma prawa. Wszelki gwałt, mówi on daléj w tém miejscu, zmusi słabego do kłamstwa i fałszu, umysłu zaś nigdy zmienić nie zdoła.“ „Rozszerzaniu się zewnętrznemu szkodliwych kacerstw, zapobiegać należy, lecz tylko wpływaniem na przekonania, tylko słowem nie zaś orężem, zapobieganie takie jest zatém rzeczą biskupów, duchowieństwa, nie zaś władzy cywilnéj.“

Takie wyłożenie zasad tolerancji przynosi wielki honor Luthrowi, powiedzieć jednak należy, że w następstwie, t. j. w czasie kiedy w łonie jego własnych zwolenników sekty powstawać zaczęły, staje on czasem w sprzeczności z powyżéj wypowiedzianemi zasadami, nie idzie jednak nigdy tak daleko, aby na herezję wymagać kary śmierci[5]). Jak w prawie kościelném życzy Luther usunąć wszystkie postanowienia ludzkie a zatrzymać tylko czyste słowo boskie objawione w biblji, tak téż jest otwartym nieprzyjacielem prawa pisanego w rzeczach świeckich. „Miłość chrześcijańska pisanych ustaw nie potrzebuje, mówi on, ponieważ jednak miłość nie jest udziałem każdego, to potrzeba aby zastępujące ją ustawy zgodne były przynajmniéj z prawami naturalnego rozumu.“ Piękne zaiste słowa, których jednak Luther bliżéj nie objaśnia, nie mając bowiem w rzeczach prawa cywilnego i publicznego powagi biblijnéj za sobą, unika on wszelkich w tym względzie roztrząsań. O ile jednak zbiorowe pojęcie prawa przez Luthra jest mierne, przekonamy się najlepiéj z przykładu, który on w piśmie o „rządzie świeckim“ jako ideał sprawiedliwości przytacza:

„Pewien szlachcic uprowadził w niewolę swego nieprzyjaciela, żona tego zanosi do zwycięzcy osobistą prośbę o uwolnienie małżonka z więzienia. Zwycięzca przychyla się do prośby pięknéj kobiety pod warunkiem, że ta będzie woli jego powolną; kochająca małżonka przezwycięża skrupuły wstydu i honoru i haniebny warunek przyjmuje... Na drugi dzień ukochany małżonek został jéj wydany... lecz z uciętą głową. Nieszczęśliwa kobieta zanosi skargę do Karola księcia Burgundji. Ten przyzwawszy szlachcica przykazał mu wziąść wdowę za żonę, po ślubie jednak kazał mu uciąć głowę, a owdowiałéj po raz drugi kobiecie, nadał dobra drugiego jéj męża.“

(Ciąg dalszy nastąpi.)

[1]) Das ist eben so viel gesagt, die hand sol nichts dazu thun, ob das aug so gross noth leidet. Ist's nit unnatürlich, schweig unchristlich, dass ein glied dem andern nit helfen, seinem verderben nit werm sol? Ja je edler das gliedmass ist, je mehr die andern ihm helfen sollen. Darum sag ich, dieweil weltlich gewalt von Gott geordnet ist, die bösen zu strafen, und die frommen zu schützen, so sol man ihnen ihr ampt lassen frei gehen, u. ungehindert durch den ganzen Körper der Christenheit, niemals angesehen, sie tieff Babst, Bischof, Pfaffen, Mönch, Nonnen oder was es ist. Wer schuldig ist, der leide. Was geistlich recht dawider gesagt hat, ist lauter erdichtet römisch vermessenheit, denn also sagt sonst Paul allen Christen: Ein jegliche seele (ich halt des Babsts auch) sol unterthan sein der oberkeit, denn sie treyt nit umsonst das schwert sie deinet Gott damit. — Pismo Luthra: „An den christlichen Adel deutscher Nation.“

[2]) Podział ten ma miejsce w Augsburgskiem wyznaniu. Art. 28.

[3]) Patrz pismo Luthra: „Von weltlicher Ueberkeit“ i list jego z 1542 r. pisany do hr. Albrechta Mansfeld. —

[4]) Patrz list Luthra do żony z 1546 r.

[5]) Patrz list Luthra z dnia 30 listopada 1525 r. pisany do Spalatina — i list z dnia 14 lipca 1528 r. pisany do Linka.

PIOSENKI.

VI.

Bez łzy...

W niepowrotnych dniach młodości
Nie wierzyłem w łzy:
Pieśni przyszły do mnie w gości
I przyniosły śmiech radości;
Ja te śmiechy i piosenki
Biegłem rzucać garścią echu,
Zanoszące się od śmiechu
Echo odrzucało dźwięki;
Wśród przyjaźni i miłości
Przepędzałem dni,
W niepowrotnych dniach młodości
Nie wierzyłem w łzy.

Raz mnie odszedł śmiech wieczorem,
Przyszedł uśmiech czczy.
Pomiędzy Plutusa dworem,
Dziwny mową i ubiorem,
Bez miłości i bez wiary,
Które w drodze ze mnie zdarto,
Stałem — z myśli pustą kartą,
Tępo patrząc się w zmrok szary;
Potwarz z zawiści upiorem
Stukały we drzwi:
Raz mnie odszedł śmiech wieczorem
Został uśmiech czczy.

Teraz, jakby w zamku z baśni,
Wszystko we mnie śpi...
Aniołowie marzeń kraśni,
Namiętności nawet waśni,
Drżenia serca — żądza wrażeń,
Wyobraźnia — cud-królewna,
I czeladka piosnek rzewna
Śpią kamiennym snem bez marzeń; —
Czasem w duszy się rozjaśni:
Próchno wspomnień tli!
Jak w zaklętym zamku baśni
Wszystko we mnie śpi.

Pocichutku, moja droga,
Powód powiem ci...
Tylko uproś Pana Boga,
Niech łza jedna, — łza uboga
Spadnie w moją pierś jałową;
Sięgam, jako kwiat po rosę;
Niech od płaczu się zaniosę,
Płacz zniweczy klątwy słowo,
Łza niech będzie, jak żar, sroga,
Chcę choć krwawéj łzy...
Pocichutku, moja droga,
Powód powiem ci:

Raz zła wróżka po nad głową
Tak szepnęła mi:
Rośnij dziecię, rośnij zdrowo!
Bóg ci w duszę złoży słowo,
Ptak nauczy cię piosenki,
Nie proszono méj opieki,
Miałbyś żywot bardzo lekki,
Lecz ja tobie mój maleńki
Dam — w czas bólu pierś jałową,
Pierś — bez łzy!
Tak zła wróżka po nad głową
Raz szepnęła mi...

Władysław Ordon.

Szkice z podróży w Tatry

przez

Walerego Eljasza.

(Dalszy ciąg).

Po krótkiéj pogwarce ruszyliśmy daléj, żegnani przez pasterzy szczeremi życzeniami szczęśliwéj drogi w dzisiejszéj wycieczce. Dostaliśmy się do lasu najprzód dróżyną wygodną aż do zarzuconych bań (kopalń rudy), potém przedzierać nam się przyszło z trudnością między świerkami, po kilkodniowéj słocie tak przepełnionemi wilgocią, iż każda dotknięta gałęź sowicie nas wodą skrapiała, a po zaklęśnięciach grzęźliśmy w błocie. Jak wszystko na świecie tak i to złe minęło, wyszedłszy z krainy lasu dostaliśmy się na otwarte zbocze żwirem łupkowym pokryte, a następnie o wpół do 9téj godzinie na skałę zwaną Kobylarzem.

Turnia ta z wierzchu równa, pięknym trawnikiem porosła, boki ma ostro ścięte, przepaściste, a widok ztąd bardzo dziki na dolinkę Litworową. Złomy wapienne zalegają dno dolinki smutnéj, głuchéj bez szmeru potoku, bez roślinności. Ztąd, gdym się obejrzał na grzbiet Czerwonych Wierchów, na cel naszéj wycieczki, dobrze widoczny żleb wydał mi się najsposobniejszą drogą do wyjścia na górę, przewodnik zaś inną mi wcale drogę wskazał. Zdziwiony, ale zaufany w naszego Macieja, udałem się za nim ku wschodowi i niebawem się przekonałem o niebezpieczeństwie chodzenia po górach bez przewodnika, bo idąc za swojem mniemaniem byłbym zaszedł w straszne turnie przepaściste, gdy wskazaną a wcale mi niedomyślną drogą dosięgnęliśmy grzbietu bez żadnéj szkody. Wprawdzie ów żleb wiodący koło skały zwanéj Ratuszem nie jest wcale zachwycający, lecz przy ostrożności niebezpieczeństwem zupełnie nie grozi, jednakże dla tego kawałka drogi wychodzenia na Czerwone Wierchy przez Przysłop wszystkim gościom polecać nie mogę, mając przykład na moim

towarzyszu. Kto bowiem wprawny w chodzeniu po szczytach, żleb Ratuszowy różnicy mu nie zrobi, ale nienawykłemu dokuczy do żywego. Jak zwykle w żlebach, drapać się trzeba było po nasypisku różnéj wielkości kamieni, stromo bardzo w górę, za pomocą kija a czasem ręki, gdzie się dało, czepiając się od prawéj strony ściany turni. Głazy się obsuwały, góry jakby nie ubywało, a za nami ziemia się gdzieś chowała. Uprzykrzył nam się przeklęty żleb; trud wyciskał obfity pot, oddech trzeba było łapać często odpoczywając t. j. postawając, w końcu przecie wierzch się grzbietu pokazał bujną zielonością pokryty, ale aby się tam dostać, wypadło jeszcze na czworakach przepełzać po kawałku litéj skały poczem można było swobodnie usiąść. Towarzysz mój Władysław, po wydostaniu się ze żlebu zbladł jak trup, osłabł, żeśmy się o niego wylękli. Było to za wielkie na pierwszy raz dla nowicyjusza tatrzańskiego wysilenie; po chwili wypoczynku na miękkiem posłaniu z wysokiéj trawy, winem pokrzepiony i zapewniony, że już w całéj dzisiejszéj wycieczce nie natrafi na drugą podobną przeprawę, przyszedł do siebie.

Grzbiet, gdzieśmy odpoczywali jest granią urwistą od północy, wiodącą prosto na Wielką Turnię (5922') dobrze widną z Zakopanego, z ścianami prostopadłemi do doliny Małéj Łąki. Idąc w górę niedługo koło 10 godz. przybyliśmy nad głęboką skalistą otchłań, jakby obszerną studnię, do któréj sączyła się woda ze źródła tryskającego kilka kroków wyżéj z pośród żwiru. Na wysokości 5937 stóp. źródło należy do szczegółów, smak jego wody wyborny, zimna + 2^{0}_{24} Rm. że zęby trętwieją, a do herbaty dobra, jak się zaraz przekonaliśmy. Tu miał być nasz pierwszy główny odpoczynek; Sieczka pobiegł gdzieś niżéj po gałęzie kosodrzewiny, bo już znajdowaliśmy się w krainie bezleśnéj, przyniosł materjału palnego, rozżarzył ogień, wody naczerpał z owego źródła, nastawił w naczyniu a tymczasem, oczekując posiłków dla żołądka, rozkoszowaliśmy się widokiem. Południe całe, a więc łańcuch Tatr zasłaniał nam szczyt Małołączniaka, na który dążyliśmy, właściwie tylko północ stała nam otworem, pod naszemi stopami dolina Małéj Łąki, nieco na wschód turnie Giewontu, z tyłu widziane, daléj dolina Zakopanego zasiana domostwami, następnie całe Podhale przerżnięte Czarnym i Białym Dunajcem, ginące koło Nowego Targu, miasteczka z błyszczącą blaszaną wieżą kościoła farnego, powyżéj pasmo Beskidów a za tem wszystkiem siniał horyzont z okolicą Krakowa.

Poschodziło się do nas kilku młodych juhasików z psami owczarskiemi z rasy liptowskiéj, które na nas ciągle ujadały, chłopaki zaś, chciwe pogadanki, wdali się w rozgowory. Jeden z nich pokaleczony, poobwijane miał nogi, ręce i widoczne rany po głowie. Zapytany wskazał opodal „turniczkę“ (ostrą skałę) na którą mu się piąć zachciało, niewiedzieć po co i spadł z niéj; drugi z pastuchów opowiadał o innym ze swoich rówienników, który ciekawością zdjęty, coby było na dnie otchłani poniżéj źródła, przy którem spoczywaliśmy, zanadto się nachyliwszy, wpadł do wnętrza. Bóg łaskaw na tych hultai, bo i ten ciekawski się nie zabił, lecz tęgo potłukł, zkąd go za pomocą liny wydobyto. Ocalał głównie z powodu, że dno owéj gardzieli zalegał jeszcze wtedy śnieg, którego już nie było, gdyśmy tu przybyli Nie docieczono dotąd, gdzie uchodzi woda z téj czeluści, domniemują się ludzie, iż na Małéj Łące z pod kamieni się wydobywa.

Półtoréj godziny zbiegło nam w tém miejscu, nie wiedząc kiedy, herbata wydała nam się nieocenionym nektarem, napoju tego żaden inny zastąpić tu nie zdoła, górale sami również ją wysoko oceniają, chociaż do herbaty nie nawykli. Sieczka z nami zasługi herbaty w górach bardzo wynosił. Postępując w górę po trawiastem zboczu, w 3. kwadranse od odejścia od źródła, stanęło moje towarzystwo na szczycie Małołączniaka i tam zostało, ja zaś, bokiem, stroną zachodnią puściłem się z przewodnikiem na Krzesanicę najwyższy szczyt (6768') z całéj grupy Czerwonych Wierchów, gdzie jest punkt triangulacyjny.

Granica węgierska znaczona kopcami biegnie samym wierzchem grzbietu. Gdyśmy usiedli na złomach wapienia, jaki zalega szczyt Krzesanicy, świat na około niczem nie zasłoniony rozłożył się majestatycznie przed naszemi oczami. Nie minęła nas nagroda dzisiejszych trudów, mgła nie kryła żadnego szczytu. Nie podobna rozwodzić się tu nad wspaniałością widoku, jaki się zewsząd tłoczy, i jakie wrażenia wywiera, bo rzeczywistości się nie dorówna, a wyobraźni nie zaspokoi. Wierchy gołe, odarte, śniegiem ubrane piętrzą się po nad sobą, porozdzielane dolinami, za niemi równiny z błyszczącemi jak srebro strumieniami, wsie, miasteczka, znowu drugie góry, zamykające horyzont naszych oczów.

Pod stopami Krzesanicy jest dolinka, raczéj kotlina dzika, pusta, kamienista zwana Rozpadlicą, a poniżéj ciągnie się wielka dolina ze wschodu na zachód w okrąg, Wierchcichą nazwana od Wierchu Cichego, który południowy jéj bok zalega. Najwyższym szczytem na zachodzie Czerwonych Wierchów jest Bystra (7230') przez turystów zwana Pyszną od hali téj nazwy, u jéj stóp rozłożonéj, zaś na wschodzie Świnnica (7395') rozpoczyna szereg szczytów tworzących rdzeń Tatr. Właśnie tego roku o téj porze śnieg tak mocno jeszcze pokrywał Świnnicę, że nie mogło było być mowy o wychodzeniu na nią. Na południu od nas królował Krywań (7913'), a z pośród tłumu szczytów wschodnio-południowych, wznosząc się jak hetman po nad wszystkie wierchy, wychylał łysinę Gierlach (8414'). Słońce dopiekało, wiatr znów chłodził, byłem zajęty rysowaniem szeregu gór od zachodu, gdzie są Bystra, Stara Robota, Rohacze i t. d. a Sieczka biegał za pająkami, które zbierał dla muzeum zoologicznego w Uniwersytecie Jagielońskim, towarzystwo zaś moje, przełęczą oddzielone, na szczycie Małołączniaka czyniło obserwacje. Mając już wracać, zawiódł mnie Sieczka w stronę Rzędów, pokazał dwa stawki w głębi doliny u stóp Tomanowéj od Węgier, poczem ruszyliśmy do swoich, gdzie znowu zdejmowałem rysunek całéj głównéj grupy Tatr od południa. Zaledwo zdążyłem widok ów nakreślić, z obłoczków wcale przedtem nieznacznych utworzyła się warstwa mgły, która powiększając się równolegle do poziomu, jakby strychulcem zakrywała szczyty od wierzchu, począwszy od najwyższych, schodząc do coraz niższych. Dobrze można było widzieć, rzeczywistą wysokość szczytów. Wyłączając perspektywiczne złudzenie oczów ludzkich, po kolei chowały się w mgle wierchy coraz niższe. Szczyt Gierlacha tonął już we mgle, gdy jeszcze wszystkie inne czysto się rysowały na tle nieba.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

POKŁOSIE.

Dr. Rejewski wydał dziełko p. n. „Warunki fundamentalne dobrobytu i organizacji finansowo-społecznéj, oraz wykaz szczegółowych przyczyn, dla których zakładanie banków zabezpieczeń trzeba rozpocząć od banku zabezpieczeń na życie, a nie od banku zabezpieczeń od ognia.“

W Krakowie wyszedł pierwszy tom „Pisma wojskowo-poli-

tyczne, podawane rządom polskiemu, angielskiemu, francuzkiemu, tureckiemu i piemonckiemu“ przez generała **Wojciecha Chrzanowskiego**, a objaśnione zarysami współczesnych zdarzeń dziejowych przez Leona Chrzanowskiego.

Hr. Adam Lew Sołtan podaje w nr. 173 dziennika „Kraj“ nekrolog zmarłego w Wilnie dnia 3go lipca b. r. i zasłużonego ojczyznie obywatela **Stanisława Szumskiego**. Tego imienia i nazwiska obywatela z ziemi grodzieńskiéj wykazuje na str. 31 Ludwik Lubliner w swojém dziełku p. n. „Les Confiscations des Biens des Polonais sous le règne de l'empereur Nicolas I.

* * *

Język łaciński w piśmiennictwie doprowadził nas do tego że dzisiaj trudno nam rozpoznać ziomków pod przeistoczoném imieniem. Tak n. p. Szymon Starowolski w swojéj pracy o pisarzach polskich nazwał **Antoniego z Napahania** „Antonius Anapachanie“ a za nim idąc, wykazali Antoniego encyklopedyści niemieccy pod imieniem **Anapachanie, Anapachanius.**

Z całego świata.

Pod tym tytułem przynosi czeskie czasopismo „Kvety“ (Kwiaty) artykuł, który w tłomaczeniu podajemy naszym czytelnikom, zwracając tylko uwagę ich na piękne a nader charakterystyczne zestawienie kilku pierwszych słów tego artykułu Brzmią one jak następuje: **„Jezuita Niemiec, złodziéj w Rosji.“** Zestawienie to nie potrzebuje komentarza.

„Alojzy Pichler, teologji doktor, wstąpił 1869 r. do służby petersburskiéj biblioteki. Miał on wtenczas lat 35, a że cieszył się między przyjaciołmi europejską sławą, akademja monachijska mianowała go swoim członkiem. Fałszem jest, jakoby Pichler chętnie został był Jezuitą; z jego pism, które mu ogólny rozgłos zyskały, pokazuje się, że walczył przeciwko papieztwu, a jego „jedynie prawdziwy kościół“ odznaczał się taką siłą, djalektyką i uczonością, że papież tę pracę kazał zapisać do indeksu, tak iż żaden prawdziwy chrześcijanin nie śmie jéj czytać pod karą klątwy. Na początku 1869 r. został Pichler powołany do Rosji i pomieszczony w ministerstwie spraw wewnętrznych we wydziale obcych wyznań. Powołanie to nastąpiło z polecenia znamienitego teologa Döllingera. Po trzechmiesięcznym pobycie w Petersburgu, napisał głośne dzieło przeciwko rzymskiemu soborowi, mianowicie przeciwko nieomylności. Następnie pojechał do Rzymu, gdzie za pomocą swojéj obrotności i znajomości potrafił sobie zyskać najskrytsze sprawy soboru, o których też pisywał do Augsburgskich nowin, nie podpisując się jednak. Rozumie się, że człowiek takiego prowadzenia się i takich skłonności, zdawał się być wielce użytecznym nabytkiem dla petersburskiéj biblioteki, gdzie właśnie było wolne miejsce bibliotekarza, a gdzie w oddziale teologicznym panował ogromny nieporządek. W maju 1869 objął Pichler urząd bibljotekarza, wszakże bez pensji i bez obowiązkowéj pracy, ponieważ głównie był pomieszczony w ministerstwie i tam też odbierał pensję. W bibljotece miał głównie zwrócić uwagę na zestawienie teologicznego oddziału i starać się o to, aby ten dział był jak najlepiéj skompletowany. Jednakże już w końcu 1869 i na początku 1870 r. naczelnicy biblioteki mieli podejrzenie, że często książki z biblioteki giną. Od czasu do czasu donosiły raporta, że się pokazują większe lub mniejsze kradzieże w bibljotece, że jednak złodzieje są niewiadomi. Tak rozległa kradzież jednak, jakiéj się domyślano w roku 1870, w bibljotece nigdy się jeszcze nie zdarzyła: całe zbiory zawierające 30, 40, 50 i więcéj jeszcze tomów nagle znikały, tom za tomem. Skutkiem tego żadna prywatna osoba nie miała już wstępu do bibljoteki; bibljotekarze zapisywali każde nowe zdarzenie do swych akt, ale tém się nic nie polepszyło. Następujący wypadek, który się zdarzył w r. 1870 mógłby był naprowadzić na trop prawdziwy, wszakże nie skorzystano z niego. Pewnego dnia bowiem, gdy Pichler właśnie wychodząc z bibljoteki otwierał drzwi na ulicę, przerwała mu się kieszeń dlugiéj sutanny i kilka książek upadło na ziemię. Strażnicy prędko podnieśli te książki i oddali je panu bibljotekarzowi, za co ten łaskawém skinieniem głową dziękował, wracając z książkami do bibljoteki, gdzie je na swoje miejsce położył. Przypadek ten nie miał żadnych następstw. Gdy później przypomniono Pichlerowi rozdartą kieszeń i wypadłe z niéj książki, odpowiedział z jezuicką godnością; uważał się wielce obrażonym i rzekł, że jemu znajomość najuczeńszych rzeczy stała się potrzebą, i że prócz tego właśnie żaden bibljotekarz nie był obecny, któregoby mógł prosić o pozwolenie zabrania owych ksiąg do domu, że zresztą jest swym panem i że tak dzieje się w całéj Europie. W Monachjum tymże samym sposobem książki się zabierają, a przecież tam nadzór jest bardzo ścisły. Znana chęć Rosjan do naśladownictwa cudzych przyszła tu Pichlerowi w pomoc i już o téj sprawie nie było mowy. Mimo to pozostał on podejrzanym niektórym osobom w bibljotece. Dziwiły się te osoby, że Pichler zima i latem, w jesieni i wiośnie nieustannie się krzątа w bibljotece, że tam chodzi jakby na palcach, że zawsze pierwszy przychodzi a ostatni wychodzi, że często się oddala i wraca. Ta nadzwyczajna pilność powiększyła podejrzenie, mianowicie też dla tego, że wielki uczony ni zimą ni latem nie zdejmował długiego wierzchniego ubrania, którego kieszenie zawszo mocno odstawały. Innych uderzyło to, że w rozlicznych oddziałach bibljoteki zawsze coś miał do szukania właśnie wtedy, kiedy nie było odpowiednich naczelników, i to mu także wypowiedzieli. Lecz on nie zważał na to, a nawet kiedyś napisał list do głównego bibliotekarza w którym oświadczył, że się musi uważać za obrażonego, ponieważ się z nim obchodzą z takiem niedowierzaniem. Jeżeli zważy się czas, w którym wstąpił do biblioteki i porównywamy kradzieże za jego bytności popełnione z kradzieżami innych lat, wyznać musimy, że Pichler już od pierwszego dnia swego urzędowania z wielką pilnością zaczął się brać do dzieła swego. Liczba zniklych ksiąg mnożyła się w ogromnych rozmiarach i w miarę tego mnożyła się także liczba tych, którzy mu nie dowierzali. A przecież byli i tacy co go jeszcze bronili, bo jakże podejrzywać męża europejskiéj sławy, wielkiego uczonego, teologa, który nawet był groźnym dla Papieża? Niektórzy byli tak przeświadczeni o tém, że Pichler jest potrzebnym w Petersburgu, że go namawiali by przyjął prawosławie. Wszakże on poważnie odpowiadał, że nie jest ni katolikiem ni protestantem, lecz tylko chrześcijaninem pierwotnego chrystjanizmu i że z tego stanowiska wszelka forma nabożeństwa jest mu obojętną. Tymczasem jednak pomyślano i o tem, czyby Pichler koniec końcem jednak nie był złodziejem. Znikły książki, które bibliotekarze jeszcze dzień przedtem widzieli na własne oczy. Odwaga Pichlera doszła do najwyższego stopnia. Dziwném jest to, że im więcéj się o tém mówiło, a mówiło się każdego dnia sam Pichler wyjawił swoje podziwienie piorunując z wielkiem oburzeniem, że nie podobna, aby się coś podobnego mogło dziać w Rosyi. Główny bibliotekarz jednak, choć dostał był list od Pichlera, doprowadził rzecz do ostatecznego rozstrzygnięcia. Trzeciego września dostał dozorca biblioteki rozkaz, by Pichlera przy wyjściu z biblioteki nieznacznie zrewidował. Dozorca wykonał ten rozkaz z prawdziwie moskiewską oględnością. Przybliżył się on do Pichlera i udawał, że mu palto chce z kurzu oczyścić, przy czem w tylnych kieszeniach namacał paczkę. Aby się jeszcze lepiéj przekonać, chciał mu pomagać oblec palto, wszakże Pichler pomocy téj nie przyjął, mówiąc, że sam sobie usłuży, przy czém starał się wyrwać palto z rąk dozórcy. Wszakże przy tym sporze dozorca przekonał się ostatecznie, że Pichler w połach ma książki; gwałtem więc zerwał palto o które Pichler uporczywie walczył. Następnie przywołał dozorca trzech bibliotekarzy i pomocnika rządzcy a w ich obecności Pichler musiał wyciągnąć z kieszeni wielki foliant (dzieło św. Ambrożego) i więcéj jeszcze ksiąg mniejszego formatu, przy czem Pichler się tłomaczył, że tych książek do swych prac naukowych potrzebował bo jemu właśnie najuczeńsze rzeczy obcemi być nie powinne, i dla tego brał takowe z sobą do domu. Gdy przyszedł głównie zarządzający bibljoteką, J. D. Deljanow, Pichler udawał, że jest wielce obrażony takiem obchodzeniem się z nim, i że skutkiem tego nie będzie odtąd w stanie zajmować się w domu naukową pracą. Mimo to posłano bibljotekarzy z Pichlerem do jego mieszkania, by obejrzyć jego księgozbiór. Na pierwszy rzut oka do skrzyni, która stała w pierwszym pokoju, przekonali się, że jest cała napełniona książkami należącemi do biblioteki, i że carski orzeł z każdego tomu jakimś sposobem był wymazany. Zanim jednak zarządzającemu o tém mogli zdać sprawę, Pichler nagle znikł bez kapelusza i bez palta i nigdzie go znaleść nie było

można. W domu jego jednak pozostała młoda Niemka, „siostrzenica“ Pichlera, która twierdziła że wszystkie te książki są własnością Pichlera, i że je przywiózł ze sobą z Monachjum. Kiedy jednak potem przybył sam głównie zarządzający biblioteką, i przy pomocy policyi zaczął rewidować całe mieszkanie, siostrzenica długo kluczy znaleść nie mogła. W końcu jednak znalazła je, i wtedy pokazało się, że całe jezuickie mieszkanie jest napełnione książkami do biblioteki należącemi, i że wielka ich część już była zapakowana w pakach, gotowych do wysyłki. W kuchni nawet były już dwie paki zabite i tam służyły za stoły. W ogóle znaleziono skradzionych z biblioteki ksiąg przeszło 4650 tomów, a były to książki bardzo wielkiego formatu, przedewszystkiem stare i rzadkie wydania. Z wszystkich ksiąg były zmazane orły, a ręką Pichlera napisano: „Bibliotheca Pichleriana.“ Na siedmiu wielkich wozach odwieźli te książki do biblioteki. Po spisaniu protokółu, mieszkanie Pichlera zostało zapieczętowane, a siostrzenica jego zaprowadzona na policję. Długo nie wiedziano, gdzie się Pichler podział; jedni powiadali, że sobie sam odebrał życie, inni twierdzili, że wieczornym pociągiem ujechał za granicę. Z téj to przyczyny czem prędzéj rozesłano na wszystkie strony telegramy, a późniéj i fotografie Pichlera, które siostrzenica miała przy sobie. Wszakże wszystko to było daremne; Pichler przez całą dobę nie został wyśledzony. W nocy jednak sam Pichler przybył do swego mieszkania, gdzie go stróże zatrzymali. Ich to pytał się, czy wszyscy wyszli z jego domu. Na rozkaz policji i jego odprowadzono do policyjnego więzienia. Następnego dnia Pichler publicznéj bibliotece piśmiennie oświadczył, że wszystkie książki, jakie u niego znaleziono z biblioteki ukradł, czego obecnie żałuje prosząc o łaskę, aby go wysłano z Rosyi.

Zeznanie to napisane było w obecności bawarskiego konsula. Pisząc to zeznanie zalewał się łzami, i powtarzał, że uczeni wszędzie są takimi złodziejami. Widząc, że jego skrzynie niosą koło niego, prosił z wielkim płaczem by mu tych skrzyń nie zabrano, bo za każdą zapłacił 60 kopjek (4 złp.). Przytem często starał się pokazać, że ma manję do książek i że skutkiem téj manji dopuszczał się kradzieży. Pak dotąd nie odesłał do Monachium, dokąd były przeznaczone, czekając na rozpoczęcie nawigacyi, gdyż wysyłka koleją byłaby za kosztowna dla niego.“

A. K.

PYTANIA I ODPOWIEDZI.

IX. Co dziś kobietę stawia wysoko w oczach. mężczyzn w ogólności?
X. Gdzież teraz, gdy wszystko po całym roku nauki odpoczywa i upaja się cudami przyrody, największa pilność i praca panuje?
XI. Dla czego „udany Mefistofeles“ łamie tak często słowo honoru?
XII. Jakich ludzi wydał XIX wiek?
XIII. Co porabia „uczony Cezar“ z trjumviratu panieńskiego?

Skrzynka do listów.

Szanownego Anonima prosimy o nadesłanie jak najrychlejszéj odpowiedzi na zapytania umieszczone w niniejszym numerze. —

Panu Juljuszowi w Przemyślu: Oczekujemy na następną korespondencję — o ile możności ogólny obraz galicyjskich stosunków dającą. — List nasz czy doszedł Pana? Dla czego nie przysyłasz Pan pracy „O Schinklu?“

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.